

— O, nie panie. Ani drzwiami, ani oknami złodziej z ulicy nie wdarł się do mieszkania pańskiego.

— Jakto pan rozumie? — rzekł zaniepokojony i zdumiony Durand.

— Tego w tej chwili powiedzieć panu nie mogę. ale ponownie zapewniam, że złodziej z ulicy nie przybył.

— Więc dlaczego pan tak dokładnie badał zamki.

— Ponieważ bywają złodzieje domowi, którzy dla odwrócenia od siebie podejrzeń, uszkadzają zamki i zasuw. Tutaj tego nie uczyniono, a więc złodziej był bardzo pewnym siebie i ufał w to, że się przeciw niemu podejrzenie zwrócić nie może.

Durand niespokojnie zaczął się przechadzać po gabinecie, namyślał się przez chwilę, a potem rzekł:

— Właściwie powiedziawszy, nie rozumiem pańskiego postępowania. Zarówno służbie, jak i panie Brown zadawałeś pan nic nie znaczące pytania, z którychby właściwie niczego dociec nie można, a jednak mówisz mi pan rzeczy, które mnie niepokoją.

— Zdaje mi się, że nie dałem powodu do zaniepokojenia.

— Jakto nie, skoro pan tak wyraźnie wskazuje na jakiegoś domowego złodzieja.

— Niech pan wyraźnie posłucha.

Język potrafi ukryć tajemnicę, ale uszy ludzkie i twarz bywają otwartą księgą dla każdego, kto w nich czytać chce i umie. Jeden rzut oka, jedno drgnienie ust, jedno poruszenie głowy, powiedzą mi stokroć więcej, niż tysiące słów.

— I cóż pan wyczytał w twarzach mojej służby?

— Że pośród niej niema złodzieja.

— A mówiłeś pan o domowym złodzieju.

— Tak panie, jest domowy złodziej, ale nie pomiędzy służbą.

— A więc któż nim jest? — rzekł Durand, w wysokim stopniu rozdrażniony?

— O tem we właściwym czasie dowie się pan od pana Stnarta, ja już stanowczo nic więcej powiedzieć nie mogę.

Ajant pożegnał się i wyszedł, a Durand zamyślił się głęboko.

Ajant znalazłszy się na ulicy, miał już jakies swobodniejsze ruchy i szybko zdążył ku domowi, gdy spostrzegł przed sklepikiem jakiegoś człowieka, trzymającego ręce w kieszeni. Ubrany był niedbale, nawet po części obdarty, czapkę na oczy nasunął. Zaczzerwieniony nos, wskazywał, że to jakieś pijaczysko. Ajant zbliżył się do pijaka z uśmiechem na ustach i zapytał:

— Czy nie moglibyście mi pokazać, którądy się idzie do hotelu Tremont?

— A czemu nie? może i pokażę, jeżeli znajdę adres w kieszeni; poszukam.

— Co ty tu robisz Bob — rzekł ajant do pijaka.

— A, ty Neil, skąd się tu wzięłeś?

— Jestem w robocie i tak mi wypadło, że muszę równocześnie zjawiać się jako Neil Stuart i jako inny ajant.

— Ale wiesz co, chłopcze, że ci się znakomicie udało. Byłbym cię nie poznał. Powiedzże mi, co tropisz?

— Córkę, która okradła swojego ojca. A ty co?

— Spotkałem tu znanego w Londynie szulera, łajdaka ostatniego rzędu. Skoro tu jest, to niezawodnie albo w Londynie coś zrobił i uciekł, albo też tutaj o czemś złym zamyśla. Nie spuszczę go z oka.

W tej chwili wysunął się z domu jakiś wysoki mężczyzna z kobietą okrytą welonem i podszedł z nią do czekającego powozu. Umieścił ją w powozie, pofalał się pożegnał i nie ruszał się z miejsca, dopóki powóz się nie oddalił. Potem poszedł w przeciwnym kierunku i nie uważał, że jakiś pijaczyna bezustannie za nim postępował. Był to Jocellyn, który na widok wysokiego mężczyzny pożegnał się przedko ze Stnartem.

Neil spojrzał na zegarek, a przekonawszy się,

że ma jeszcze wiele czasu, puścił się bez planu po mieście.

Zamyśliwszy się nie spostrzegł, że się niespodzianie znalazł w jakimś nieznanym zaułku. Już chciał wsiąść do dorożki i pojechać do domu, gdy nagle usłyszał głos przerażonej kobiety:

— Ratujcie kto w Boga wierzy! Morderstwo! Pomocy!...

IV.

Zagadki.

Usłyszawszy wołanie o pomoc, Stuart pospieszył ku domowi, przed którego bramą zobaczył młodą, przerażoną dziewczynę.

— Co się stało? Gdzie jakie morderstwo? — zapytał dziewczyny.

— Na trzecim piętrze panie, zaraz pokażę.

To rzekłszy poprowadziła Stnarta po ciemnych, zniszczonych schodach, zapelnionych już zaniepokojonymi mieszkańcami domu. Rzecz to była niezwykła: napad mordercy w dzień biały.

Gdy Stuart zdążył pospiesznie, ciekawsi z mieszkańców poszli za nim i wyczekiwali pod drzwia-



— Co ty tu robisz Bob — rzekł ajant do pijaka.

mi, co z tego będzie. Stuart chciał wejść do wskazanego sobie mieszkania, ale drzwi były zamknięte. Przy pomocy kilku mieszkańców wyważył je przedko i gdy tylko próg przekroczył, spostrzegł wysokiego mężczyznę, który chciał uciekać.

Stuart zastąpił mu drogę, lecz w tej chwili ów mężczyzna dobył sztyletu.

Z niesłychaną zręcznością skreśliwszy mu nagle rękę, Stuart wyrwał sztylet i tak silnie uderzył pięścią mordercę że padł jakby omdlały.

— Zawołajcie policy i wezwijcie lekarza — rozkazał Stuart i wszedł do pokoju.

Tu zobaczył leżącą na podłodze, ciężko ranną kobietę, a obok niej portfel niewielki. Podjął go i schował. Ranną kobietę leżała bezprzytomna. Na szczęście wkrótce zjawił się lekarz i ranną opatrzył. Przybyła też i straż policyjna. Stuart oddał zbrodniarza w jej ręce, a potem zwrócił się do owej dziewczyny, która wzywała pomocy; była to córka właścicielki domu.

— Maszę z panią pomówić na osobności, więc proszę mi wskazać swoje mieszkanie. Jestem urzędnikiem policyi i mam prawo i obowiązek żądać od pani wszelkich wyjaśnień.

Stanowczy ton mowy Stnarta wywarł wrażenie na wszystkich tak, że z widoczną ulgą i uspokojeniem rozchodzili się zaczęli. Znalazłszy się w mieszkaniu właścicielki domu, rozpoczął indagację.

— Czy pani zna zranioną osobę?

— Bardzo mało. Mieszka u nas dopiero od trzech dni, a przez ten czas prawie się nawet nie pokazywała.

— Jak się nazywa?

— Thomson.

— A ten mężczyzna? Czy go pani przedtem widziała?

— Jego zobaczyłam dziś po raz pierwszy. Przyszedł tu przed godziną i powiedział, że chce siostrę odwiedzić. Jakoś w kwadrans po tem, gdy przyszedł, przechodziłam koło drzwi mieszkania pani Thomson i usłyszałam bardzo głośną kłótnię. Zaciekawiona tem, wsunęłam się niepostrzeżenie do przedpokoju i przysłuchiwałam się wszystkiemu.

— O cóż się tak kłóciło?

— Nie wiele mogłam zrozumieć. Ten pan, który się za brata przedstawił, domagał się od niej pieniędzy, które miała otrzymać od jakiegoś bogatego Anglika. Ona odpowiedziała mu, że nic nie ma, na co ów brat obrzucił ją obelgami i coś jej wydrzeć usiłował, bo słyszałam szamotanie i głos pani Thomson: „Nie oddam, choćbym umrzeć miała“. W chwilę potem usłyszałam jęk przeraźliwy i rozpaczliwy głos pani Thomson: „Zbójco, morderco!“ Wtedy zbiegłam co tchu na ulicę i zawołałam o pomoc.

Nie dowiedziawszy się niczego więcej, wrócił Stuart na miejsce zbrodni. Zraniona kobieta leżała już na łóżku, a lekarz starannie opatrywał ranę.

— Ciężko ranna?

— Rana wprawdzie śmiertelna, ale jest nadzieja ocalenia.

— Czy można ranną przewieźć do szpitala?

— Może jutro, jeżeli dożyje.

Była to kobieta niemłoda, o rysach twarzy miłych i szlachetnych. Stuart oddał ją pod opiekę właścicielki domu, a że już właściwie nie miał tu co robić, udał się do domu.

Rozebrawszy się z przebrania, chciał zaraz przeglądać papiery w portfelu zawarte, ale przypomniał sobie, że już czas zbierać się na herbatę do Durandów.

Zaledwie się ubrał i do wyjścia sposobił, przyszedł po niego Arterveldt.

— Mamy jeszcze pół godziny czasu, więc możemy porozmawiać, jeżeli pan pozwoli.

— I owszem — rzekł Stuart — zwłaszcza, że niezawodnie będzie pan opowiadał o pięknych dziewczętach.

— Tym razem nie mów pan w liczbie mnogiej, bo od wczoraj już tylko o jednej rozmawiać mogę.

— Zapewne o tej pięknej przyjaciółce panny Kati Scaton? Jakże się nazywa ten nowy ideał pański?

— Panna Ardyn. Śmieję się pan

ze mnie, że mi się podoba, ale zapewnił maszę, że po raz pierwszy jestem naprawdę zakochany. To mię ogromnie gniewa, że muszę z panem iść do Durandów, zamiast do Ruthvenów.

— Więc panna Durand straciła już wszelki powab dla pana? A jakżż pan się dzisiaj z nią witał, przyszedłszy się usprawiedliwić z wczorajszej niebytności?

— Na szczęście nie widziałem jej wcale, bo mi jej towarzyska oświadczyła, że jest chora.

— Może ma migrenę?

— Coś takiego.

— Te migreny bywają niekiedy w różnych wypadkach bardzo przydatne — rzekł Stuart od niechcenia. — Ale, ale... znasz pan dokładniej towarzyszkę panny Durand?

— Dostyc powabna dziewczyna.

— To za mało do charakterystyki.

— Cóż panu powiem? Chyba same przypuszczenia.

— Choćby i tyle.

(Ciąg dalszy nastąpi).